

# ROZMAITOŚCI.

Dnia 27. Maja.

№ 21.

Roku 1857.

## JENERAŁA GORDONA PAMIĘTNIK

o pobycie w Polsce od r. 1651 do r. 1661.

przez

W. Loz.

I.

A u t o r.

Dnia 9 grudnia r. 1698 jęczały donośnie wszystkie dzwony cerkwi w Moskwie, a cała ludność stolicy tłoczyła się jedną nieprzejrzaną falą ku cmentarzowi. Wśród załośnych dźwięków muzyki, przerywanych niekiedy głuchym odgłosem bebnów i trąb, kroczył przodem świetny i wspaniały orszak pogrzebowy.

W tyle za trumną za wielką chorągwią państwa szedł pochylony w smutku sam car Piotr Wielki. Za nim w przestrzeganym zwyczajami porządku prowadzono cztery bojowe konie nieboszczyka, a siedmiu w żałobę przyodzianych oficerów niosło na czarnych złotem przetykanych poduszkach aksamitnych jego ostrogi, rękawiczki, miecz, hełm, pancerz i buławę.

Obok nich jechali rycerze, w czarną zakuci zbroję, w tyle postępowała rodzina umarłego i snuł się nieprzejrzany poczet wysokich dostojników, jenerałów, bojarów, posłów i konsulów zagranicznych, wyższych oficerów sztabowych, paziów i sług nieboszczyka. Cały orszak zamykały liczne szeregi wojska i nieprzejrzana ćma ludu, zalegająca wszystkie ulice pobliskie.

Nieboszczyk, którego zwłoki z taką pompą składano do grobu, było jeden z pierwszych dygnitarzy państwa, poskromiciel ostatniego buntu streliców, przyjaciel i doradzca Piotra W., jenerał Patrick Gordon.

Dziwnem sprzyjaniem losu dostąpił on po nader burzliwej i awanturniczej młodości najwyższych zaszczytów w państwie rosyjskiem, a obok sławnego Laporta stał się przy schyłku życia najgłówniejszym filarem reformatorskich zabiegów Piotra W.

Uskarbiwszy sobie jako przyjaciel i doradzca wielkiego Cara wiekuistą pamięć w historyi rosyjskiej, przysłużył się prócz tego niemało potomności, pozostawiając po sobie bardzo obszerne pamiętniki, obchodzące w wysokim stopniu i nas samych.

W pierwszych latach swojej młodości, w początkach swojej świetnej kariery wojskowej, zostawał on dłuższy czas w służbie Polski, podczas jednej z najburzliwszych epok jej politycznego życia; Polska była pierwszym krajem, do którego z szkockiej zawitał ojczyzny, Polska pierwszą widownią jego awanturniczego zawodu, to też i niepoślednie miejsce zajmuje ona w jego pamiętnikach, mianowicie w czasie wojuen szwedzkiej, moskiewskiej i kozackiej.

Pamiętniki te pisane pierwotnie w języku angielskim przechodziły dziwne koleje, a rozrzucone częściami po rozmaitych miejscach i członkach rodziny, długo spoczywały w ukryciu, aż dopiero w roku 1759 nabyte w dwóch tomach przez hrabię Alexandra Sergejewicza Strogouowa, dostały się do użytku uczonemu historyografowi G. F. Müllerowi, za którego staraniem zwiększyły się czterema przezeń odzukanemi tomami.

Lecz i ten sześciotomowy zbiór, obejmujący przeciąg czasu od r. 1635 do 1698, nie stanowił jeszcze kompletu: zachodzi w nim mianowicie podwójna przerwa od r. 1667 do r. 1677, i od r. 1678 do r. 1684.

W takim niekomplecie służyły pamiętniki Gordona, zuane ogółowi tylko z niektórych ciekawszych wyjątków, za szacowny materiał z owego czasu wielu celniejszemu historykom rosyjskim, a dopiero w roku 1849 doczekały się za staraniem księcia M. A. Oboleńskiego i dra. M. C. Posselta pierwszego zupełnego wydania w niemieckim przekładzie.

Przy tem wszakże wydaniu zaszkodziła im wielce ich objętość niezwyčajna. Żaden kupiec nie mógłby skrętniej wciągać w swoje księgi rachunkowe codziennych zysków i strat, jak obok największego nawału zatrudnień zwyčajnych wpisywał jenerał Gordon do swoich pamiętników każde widziane lub zasły-

szane zdarzenie, każdy choćby najdrobniejszy szczegół swojego życia, nie szczędząc i dokładnych dat o stanie armii, w których służył, i przytaczając odpisy mnogich umów i traktatów, zawartych za jego czasów.

Ze względu też na ten rozmiar niezwyčajny uznali wydawcy moskiewscy za rzecz stosowną, pozostałe tomy Pamiętników ogłosić tylko w wyciągu, a całą część obejmującą szczegóły prywatnego życia Gordona zbyli tylko kilkoma pobieżnymi napomknieniami. Tym sposobem zatarała się jednak najpowabniejsza dla nas strona Pamiętników Gordona. Jak bowiem widzimy z pozostałych wzmianek skróconych, przepędził on podczas swojego pobytu w Polsce dłuższy czas na dworach panów polskich, a doznawszy w Polsce dwukrotnej miłości wzajemnej, i nauczywszy się z samego obcowania języka narodowego, odsłonił nam może niejedną ciekawy rys z ówczesnego życia społeczeńskiego.

Osobliwie opis pierwszych chwil pobytu w Polsce, ściągnięty z 40 kartek oryginału do jednej przekładu, byłby dla nas pełen szczególniejszego uroku, podaje bowiem najświetniejsze świadectwo staropolskiej gościnności i owej serdecznej uprzejmości, która nie pytając ani o imię ani o charakter nieznanego przybysza z dalekich krajów zamorskich, zajmowała się szczerze jego losem, i przyjmowała go wszędzie z otwartymi ramionami.

Moskiewscy wydawcy Pamiętników Gordona chcieli głównie przysłużyć się umiejętności przysporzeniem nowych dat historycznych, przeco naturalnie ściśle musieli trzymać się oryginału; nam chodziłoby tylko o niektóre ciekawsze i mniej znane rysy owego czasu, niemniej też o bezstronne i nieuprzedzone świadectwo w niektórych sprawach wątpliwych. Z tego też powodu nie wahamy się przytoczyć pokrótce główniejszą osnowę odnoszącej się do naszych dziejów części Pamiętników w nieco odmiennym szyku i tonie, a zaczynamy od czasu kiedy Gordon w służbie szwedzkiej opisuje wojnę Karola X z Polską.

## II.

### Służba u Szwedów.

Już sześć miesięcy zostawałem w służbie szwedzkiej, a przez cały ten czas była kampania nasza jednym tylko pasmem zwycięstw i tryumfów. Zaskoczeni przeważnymi siłami Polacy, nie umieli nam nigdzie dotrzymać miej-

scia, i po kilku nieszczęśliwych potyczkach usuwali się coraz dalej w głąb kraju.

Zawarta w Uściu za pośrednictwem Radziejowskiego umowa między szwedzkim marszałkiem Wittembergiem a Krzysztofem Opalińskim, wojewodą poznańskim, Pawłem Gembickim, Andrzejem Karolem Grudzińskim wojewodą kaliskim i Maksymilianem Miaskowskim, kasztelanem karłowskim, poddała Szwedom województwo kaliskie i poznańskie.

Napróżno użalał się Jan Kazimierz przez swojego posła Krzysztofa Przyjemskiego na złamanie rozejmu, i oświadczał się gotowym do układów i zadośćuczynienia wszystkim żałobom szwedzkiej korony. Karol X odpowiedział mu z dumą, iż zadziwiają go skargi króla Polskiego, kiedy przecie cała Europa wie z wydanego manifestu jakie są powody wojny, a ztąd nie może być mowy o złamaniu rozejmu.

Na wniosek Krzysztofa Przyjemskiego, aby Szczecin obrać za miejsce układów o niezwłoczny rozejm, odpowiedział Karol:

— „Szczecin leży zadaleko, mój kuzyn król Jan Kazimierz musi wybrać któreś z bliżej położonych miast.“

Przedstawiał znowu poseł polski, iż miejsce takie musi leżeć w pośrodku obdwóch armii, które już zaledwie o 12 mil stały od siebie oddalone.

— „Kiedyśmy już tak blisko siebie“ — odezwał się na to Karol Gustaw X szydlerczo — „tedy ja sam pospieszę naprzeciw memu kochanemu kuzynowi, i zejdę się z nim prędzej, niż się może spodziewa.“

Z zwyczajną Polakom dumą i godnością skłonił się Przyjemski na te słowa, i wyszedł natychmiast z królewskiego namiotu. Karol Gustaw posłał mu swój powóz, i kazał go odwieść aż do miasteczka Kofa.

Armia nasza posuwała się tymczasem coraz dalej, nie znajdując nigdzie silniejszego oporu. Raz tylko przy miasteczku Żarnowie chcieli nam Polacy dotrzymać placu, lecz namyśliwszy się w ostatecznej chwili inaczej, cofnęli się tuż przed rozpoczęciem bitwy.

Bez żadnej też potyczki stanęliśmy 25 września przed obliczem Krakowa, który na jednym przedmieściu swoim w jasnych gorzał płomieniach. Dowiedzieliśmy się potem, że król Polski ujeżdżając z miasta w największym pospiechu, pozostawił dowództwo w ręku Czarneckiego, a ten z umysłu kazał podpalić przedmieście Kleparz, aby w niem nie usadowili się Szwedzi.

Tu też dopiero spotkaliśmy się pierwszy raz z silniejszym oporem. Zaraz przy pierwszym rekognoskowaniu twierdzy sam król Szwedzki mało co nie padł ofiarą. Taż u jego boku zabiła kula armatnia pazia i jednego z prostych żołnierzy, i król musiał spiesźnie cofnąć się w bezpieczniejsze miejsce.

Posłyszawszy zaś nazajutrz o licznej wojsku kwarcianem, które miało znajdować się w pobliskim Wojniczu, przeszedł Wisłę, i rozpędziwszy zgromadzonych po tamtej stronie Polaków, zajął miasteczko Wiśnicz, broniąc 35 działami.

Król Polski Jan Kazimierz uciekł wtedy sudeckim gościńcem do Spizu, a ztamtąd do Szlązka.

Wojska szwedzkie zdobywały tymczasem Kraków. Karol Gustaw powróciwszy z Wiśnicza, rozkazał sypać okopy pod miastem, lecz Czarnecki starał się temu przeszkodzić wszelkimi siłami, podejmując częste i powiększej części szczęśliwe wycieczki na Szwedów. Wszakże mimo całego bohaterstwa swojego nie zdolał i on obronić Krakowa, i przeciśnięty przemocą, musiał w końcu poddać miasto pod bardzo zaszczytnymi warunkami.

On sam z sześcią tysięcy ludzi, z wszystkimi działami i bagażami wyruszył nazajutrz wśród dźwięków muzyki z miasta, i mógł wolny od wszelkich zobowiązań połączyć się z wojskiem polskim, a jeszcze tegosamego dnia zajęły twierdzę szwedzkie pułki.

Zdobycie Krakowa opłacili Szwedzi dotkliwymi stratami po innych stronach. Mianowicie nie powiodło się generał-majorowi Müllerowi oblężenie Częstochowy, a szwagier królewski, landgraf Fryderyk Heski postradał życie pod wielkopolskim miasteczkiem Kościelany, gdzie Polacy napadli załogę szwedzką, i w pień ją wycieli. Landgraf nie wiedząc o tem, wjechał właśnie po dokonaniu tego dzieła do miasta, i nie uszedł również śmierci.

Mimo tak świetnych sukcesów naszego oręża, oglądał się Karol Gustaw ciągle za sprzymierzeńcami. Udało mu się też wciągnąć w wojnę z Polską Rakoczego, księcia Siedmiogrodzkiego, a do Chmielnickiego, zbuntowanego hetmana Kozaków, słał często posły, aby się z nim porozumieć co do dalszego działania przeciw Polakom.

Małe nieporozumienie z moim rotmistrzem spowodowało mnie wystąpić z pułku księcia Sachsen Lauenburg, w którym dotychczas służyłem. Zaciągnąłem się natomiast do pułku

ochotników pułkownika Pontusa de la Gardie, który zajął leże zimowe w Nowym Sączu.

Całą okolicę tamtejszą uciskano srodze nstawicznymi kontrybucjami, co z początku jeszcze jako tako uchodziło, z czasem jednak zaczęło coraz bardziej burzyć umysły. Zniepokojony po trosze dowódca szwedzki postanowił mieć się na baczności. Dla tempewniejszego zaś bezpieczeństwa odebrał wszystkie broń mieszkańcom, kazał im złożyć sobie przysięgę wierności, a ponaprawiając wały miasta, rozstawił wszędzie pilne strażę, i wysyłał codziennie liczne oddziały na rekognoskowanie za miasto.

Wszakże mimo wszystkie te środki ostrożności doniósł mu nagle pewien szlachcic aryński Szlichtyng, że pobliscy górale zgromadzili się w znaczną tłumę, i pod wodzą kilku szlachty zagrażają miastu.

Zeznanie to przybierało temwiększą prawdopodobność, ile że w nocy niepokoiły załogę jakieś ciągłe ztąd i owad czerwieniejące pożary. Dowódca szwedzki wysłał natychmiast silny oddział za miasto, a temu udało się pochwycić kilku chłopów w niewolę.

Wzięto ich zaraz na turturę, i srogimi mękami wymęczono zeznanie, iż dwa do trzech tysięcy chłopów zgromadziło się w pobliskich lasach. Przewodziło nimi kilku szlachty, mianowicie jacyś dwaj bracia Wąsowicze, a ostatniemi czasą przyłączyło się do nich 200 dragonów krakowskiego biskupa. W takiej sile zamierzali górale uderzyć najpierw na dom aryńskiego szlachcica Szlichtynga, a ztamtąd opanować miasto.

Wywiedziawszy się dokładnie o całym zamachu, umyślił podpułkownik szwedzki obsaczyć licznym wojskiem dom Szlichtynga, aby tu zaraz powitać i odeprzeć nieprzyjaciół.

Pozostawiając też w mieście nie bardzo silną załogę, wyruszył z większą częścią wojska do domu Szlichtynga.

Tymczasem nieprzyjaciele zawiadomieni o wszystkim przez mieszczan skierowali winną stronę swój napad. Kilkunastu z nich ukrywało się po piwnicach i stodołach przedmiejskich, a skoro tylko wojsko odciągnęło na umówione stanowisko, wypadli wszyscy z swych kryjówek, i podsunawszy się chyłkiem pod bramy miasta, przemogli zaskoczoną straż i rozwarli bramę nadciągającym ze wszystkich stron towarzyszom.

Pozostała w mieście garstka załogi szwedzkiej nie mogła najmniejszego stawić oporu, i nie uszła też zagłady. Tylko mnie i kilku innym udało się utorować sobie drogę za

miasto i połączyć się z naszym wojskiem przy domu Szlichtynga.

Nie czując się w siłach nderzyć na daleko liczniejszego nieprzyjaciela, postanowiliśmy cofnąć się spiesznie ku Krakowowi, gdzie też w dwóch dniach stanęliśmy. Czekaliśmy tam wieści, że król Polski wraca z Szlaska, i uzyskawszy pomoc Tatarów, ciągnie z silnym wojskiem ku Krosnowi.

Mój pułk otrzymał w tym czasie rozkaz wyruszyć z Krakowa, ja zatrzymany różnemi sprawami, miałem go aż w kilka dni dopędzić. Nie byłoby wszakże tak łatwym zadaniem, jak się spodziewałem. W kilka mil za Krakowem nie można już było dopytać się drogi, którą obrali nasi.

Błąkając się po całej okolicy, zajechałem na noc do Rymanowa. Strudzony i znużony podróżą, szukałem wypoczynku i wczasu w pierwszym lepszym domu gościnnym, lecz zaledwie rzuciłem się na pościel, ocknął mnie nagle szрек szabel.

Kilku szlachty polskiej napadło na gospodę i zaskoczyło mnie tak niespodziewanie, że nie można było ani pomyśleć o obronie. Musiałem się poddać bez oporu, a odstawiony wraz z kilkoma innymi jeńcami do Sącza, spędziłem 17 tygodni w niewoli.

Dopiero za wstawieniem się prowincyała tamtejszych Franciszkanów ojca Inneza powrócono mi wolność pod warunkiem, iż przejdę niezwłocznie w służbę polską.

### III.

#### Bliższa znajomość z Polakami.

Służba w szeregach polskich miała dla mnie wiele powabu. Żywiłem bowiem zdawna wielką sympatyę do Polaków. Wygnany z szkockiej ojczyzny wspomnieniem nieszczęśliwej miłości i zubożeniem rodziny, postanowiłem gonić za szczęściem w obcych krajach, a wybrawszy się w świat bez wiedzy kresu i celu, dostałem się na pewnym okręcie kupieckim najpierwej do krajów polskich.

Dnia 29 lipca 1651 wylądowałem w Gdańsku. I dziwne też było wtedy położenie moje. Ujrzałem się bez pieniędzy w obcym, zupełnie nieznanym kraju, sam nie wiedząc czego się mam chwycić, i jaki wybrać sobie zawód.

Smutny i zamyślony wszedłem do jakiejś gospody w Gdańsku, i usiadłem przy pierwszym lepszym stole. Niedaleko ode mnie zajmowało miejsce w żywej z sobą rozmow-

wie czterech ludzi. Byłito jacyś trzej kupcy holenderscy i pewien szlachcic zamieszkały w Gdańsku, imieniem Tomasz Menezes.

Wejście moje przerwało tok ich rozmowy, wszyscy spojrzeli na mnie z uwagą, a szczególnie szlachcic przypatrywał mi się z wielkiem zajęciem. Cudzoziemskie pochodzenie moje nietrudno było wyczytać z stroju i układu, a smutek i zakłopotanie przebijały się aż nazbyt jawnie z twarzy.

Zapewne też ten wyraz smutku zjednał mi szczególniejszy udział poczciwego szlachcica. Zbliżył się do mnie z serdeczną szczerością, a porozumiewszy się ze mną, i dowiedziawszy się zkad przybywam i w jakim znajduję się położeniu, zaprosił mię do swego towarzystwa i przyrzekł zająć się moim losem.

Z nim też i owemi trzema holenderskimi kupcami udałem się zaraz nazajutrz do Królewca a ztamtąd do Brunsberga, siedziby biskupa Warmijskiego nad spławną rzeką Passargą. Proboszczem w tem mieście był brat mego nowego opiekuna, Alexander Michał Menezes. Spędziliśmy kilka dni w jego domu, poczem za jego wpływem dostałem się do tamecznego kolegium OO. Jezuitów, aby wykształcić się lepiej w starożytnych językach i umiejętnościach klasycznych.

Przyjęto mię do kolegium bez wszelkiego wynagrodzenia. OO. Jezuici obchodzili się ze mną z największą łagodnością, a troszcząc się o wszelkie dla mnie wygody, starali się także najusilniej, aby nauki moje w jaknajkrótszym czasie pożądanym uwieńczyły się skutkiem.

Mimo to wszystko trudno mi było oswoić się z cichem i skromnem życiem klasztorzem. Żądza przygod, która mię wypchnęła z ojczyzny, i zagnała w tak dalekie strony, nie dała uskromić się mozolnym postępowaniem w naukach. Kołotany wrodzoną burzliwością charakteru, zniecierliłem wkrótce zacisze mego nowego pobytu.

Wytrawniejsze później rozmyślanie i jakietakie nabyte już doświadczenie dały mi łatwo poznać, że bez trudu i mozółu niepodobna nigdzie dobić się losu. Z każdym też dniem coraz bardziej zniechęcony, postanowiłem umknąć z mego kolegium, i jaknajspieszniej powrócić do ojczyzny.

Pierwszy zamiar udał mi się z łatwością, drugiemu przeszkodziły okoliczności. Wymknąwszy się milczkiem z klasztoru bez pożegnania z moimi dobroczyńcami, pospieszyłem dla oszczędzenia kosztów piechotą do

Gdańska. Lecz jakby na ukaranie za moją niewdzięczność, okazaną OO. Jezuitom, trafiłem do miasta w porę, kiedy ani jeden okręt nie odpływał do Szkocji. Chcąc nie chcąc musiałem postępować dalej w zaczętych zawodzie awanturniczym, bo na podróż do innego portu nie starczyło mi bynajmniej środków. W Gdańsku radzono mi abym udał się w głąb Polski, gdzie przy powszechnej gościnności mieszkańców bardzo łatwo przepędzić zimę bez kosztów.

Rada ta przypadła mi tembardziej do myśli, gdym się dowiedział, iż w miasteczku Chełmnie przybywa jakiś wychodźca szkocki jednego ze mną nazwiska. Nie namyślając się długo, wybrałem się z pokrzepioną nadzieją do Chełmna.

W drodze spotkałem i zaznajomiłem się przypadkiem z pewnym rodakiem moim, który zostawał dotychczas w usługach jakiegoś kupca gdańskiego, teraz zaś zamierzał wstąpić do wojska polskiego. Dłuższa z nim rozmowa natchnęła mię tąsamą myślą. Porozumiawszy się z sobą dokładnie co do naszych wspólnych chęci i nadziei, udaliśmy się razem do Torunia a zamtąd wprost do Warszawy, gdzie właśnie sejm się odbywał.

Zyczeniem naszym było zaciągnąć się pod chorągwie księcia Janusza Radziwiłła. Na nieszczęście księżę nie przybył na sejm, a temsamem spełzła nasza nadzieja. Rozłączywszy się więc z moim nowym towarzyszem podróży, przemyślałem nad środkami, jakby nazad powrócić do ojczyzny, gdy wtem zrobiłem przypadkiem znajomość pewnego zamożnego szlachcica polskiego, bawiącego na sejmie. Był to dla mnie największem szczęściem, bo zacny Polak dowiedziawszy się o mojem położeniu, zajął się mną szczerze, i wyjeżdżając wkrótce z Warszawy, wziął mię z sobą do Poznania. Tu przemieszkiwało wówczas wielu kupców angielskich, znalazłem też u nich nietylko przyjacielskie przyjęcie, ale nawet znaczną pomoc pieniężną.

Za poleceniem zaś mojego nowego dobroczyńcy, owego zacnego szlachcica, dostałem się w poczet służby młodego Opalińskiego, wyjeżdżającego właśnie za granicę.

Z jego dworem udałem się do Niemiec, a w kilka tygodni stanąłem w Hamburgu. Zanosiło się już wtedy otwarcie na wojnę między Szwecyą a Polską, w Hamburgu też przebywało bardzo wielu oficerów szwedzkich, zaciągających ochotników pod swoje sztandary.

Przypadek chciał że zszedłszy pewnego razu z kilką takich werbowników, nadstawiłem ucha ich namowom, i omamiony szumnemi obietnicami, wstąpiłem w służbę szwedzką, nie zawarłszy nawet poprzedniej kapitulacji, mogącej mi zapewnić zwyczajnych korzyści na wypadek wystąpienia.

W takto sposób ujrzałem się w szeregach szwedzkich i musiałem walczyć przeciw Polakom, którzy mi niedawno wiele wyświadczyli dobrego.

To też dostawszy się teraz w niewolę polską, z łatwością dałem się księdzu Innezowi namówić do służby pod polskimi sztandarami. Zaprowadzono mię zaraz do starosty sądeckiego, Konstantego Lubomirskiego, a on pozostawił mi do wyboru czy wolę służyć w gwardyi królewskiej, czy w jego własnej kompanii dragonów.

Przeniosłem służbę w szeregach starosty, a zaopatrzony jeszcze tegosamego dnia w konia i wszelkie potrzebne przybory, wyruszyłem nazajutrz z całą 80 ludzi liczącą kompanią do Grzybowa. Kapitana mieliśmy Holendra, imieniem Zacharyasz Mittlach.

Naczelnym naszym wódcą, Konstanty Lubomirski, starosta sądecki i podczaszy koronny, pan zacny i szlachetny, było najmłodszy z trzech braci Lubomirskich, z których najstarszy nosił tytuł wielkiego koniuszego koronnego, i później został wojewodą krakowskim, średni zaś i najślawniejszy ze wszystkich, Jerzy Sebastian, dzierżył wówczas małą buławę i piastował godność marszałka koronnego. Wszyscy trzej pisali się hrabia-mi na Wiśniczu i Jarosławiu.

Konstanty miał wówczas pod swojemi rozkazami prócz własnych żołnierzy także oddziały innego wojska, a spieszył ku Lublinowi dla połączenia się z armią królewską. Pochód nasz odbywał się na Biecz, Rzeszów, Łańcut, Przeworsk, Jarosław i Zamość. Pod Lublinem połączyliśmy się z armią królewską, a po ósmiodniowym wypoczynku pomaszerowaliśmy dalej ku Warszawie, obleganej już od trzech tygodni przez armię litewską.

Wówczas zaczęło się już było chwiać szczęście Karola Gustawa, który mniemał się już panem całej Polski, nietylko bowiem poddawały mu się pojedyncze województwa i miasta, ale nawet cała armia polska pod wodzą wielkiego hetmana Potockiego i hetmana polnego Lanckorońskiego złożyła mu przysięgę wierności. (D. c. n.)

## STARY KAWALER.

Opowiadanie poufne imię pana Chryzantego G.

(Dokończenie.)

Tylko świeży jakiś smutek przebiegał się z jej twarzy, a zwyczajny blask oczu omgłiła i za tłumiona.

Coż to miało oznaczać?

Zagadnąłem ją w żarcie o przyszłe zamezcie; Emilia zadrzała, a rzucając na mnie dziwne spojrzenie, chciała coś odpowiedzieć, lecz nagle zamilkła, urywając jakieś nawpół już wymówione słowo.

Jakiś szczególniejszy niepokój jakgdyby przecucie przyszłego złego ogarnął mię w tej chwili. Miałaby już należeć do kogo innego? Byłaż nieszczęśliwą? Czy domyślała się uczucia, jakim mię natchnęła? Te i tym podobne pytania nasuwały mi się bez ustanku, i z coraz większą gwałtownością wstrząsały mną całym.

Spojrzałem na jej prawą rękę. Na nieszczęście okrywała ją rękawiczka, pod którą trudno było dopatrzeć zarysów ślubnej obrączki. Niepokój mój nie zmniejszył się bynajmniej, mimo to przymuszałem się do uśmiechu, próbując rozweselić zasępioną towarzyszkę.

Matka jej, strudzona przechadzką, nsiadła na murawie, my oboje nie potrzebowaliśmy jeszcze wypoczynku. Oddaleni o kilkadziesiąt kroków od matki, wszczęliśmy nieco poufniejszą rozmowę. W miarę coraz swobodniejszego jej toku, wzbierały coraz silniej moje uczucia. Ośmielony nieobecnością matki, chciałem już z stanowczem ozwać się oświadczeniem, gdy w tem z spuszczonego na dół oczyma przerwała mi Emilia, drżąc cała jak listek.

— „Musisz mi pan coś przyrzec pod słowem honoru“ — rzekła z wysileniem.

Przyrzekłem skwapliwie, błagając aby wrazie jeśli się czuje nieszczęśliwą, zażądała otwarcie mojej pomocy.

— „O, dziękuje panu“ — odpowiedziała prędko. — „Szczęście moje nie na ziemi. Nie jestem tem, czem się panu wydaje.... Mnimsy rozstać się z sobą jaknajprędzej.... Będzie to pożądanem dla nas obojga.... O toż właśnie miałam pana prosić, i to też mi z góry już przyrzekłeś...“

Słowa te wypowiedziała urywanym głosem ze łzami w oczach, a zanim jeszcze zdolałem ochłonąć z zadziwienia, ozwała się na nowo:

— „Żegnam pana na wieki. Nie przestane się nigdy modlić, abyś był szczęśliwym.“ I skinąwszy zlekka ręką pobiegła ku siedzącej na murawie matce. Pospieszyłem za nią co tchu, lecz niepodobna już było dowiedzieć się czegoś więcej. Zniepokojony i wzruszony, biłem się z najdziwniejszymi myślami, i ważyłem każde z tych słów zagadkowych, które naraz niebo i piekło rozwarły przedemną.

Niestety aż nazbyt prędko miała mi się wyjaśnić cała tajemnica.

Usiedliśmy właśnie wszyscy troje na murawie, gdy nagle doleciał nas turkot powozu, dojeżdżającego już do szczytu góry. Obejrzeliliśmy się wszyscy w jednej chwili, a ja mimo mojego tak sentymentalnego w owej chwili usposobienia musiałem parsknąć głośnym śmiechem.

W powozie siedziało dwóch mężczyzn tak różnych od siebie jakby dwa uosobione przeciwieństwa. Pierwszym z nich był znany nam kapitan gruby i pekaty jak beczka, drugim nasz nieoszacowany tłumacz geniuszów, chudy i cienki jak kostur. Karmazynowe policzki i zamaszyste wasy kapitana a biały odmrożony nos kochanka, przedstawiały już zdala tak pocieszny widok, że śmiech mój w coraz głośniejsze i serdeczniejsze wzmagał się tony, czem widocznie zdawały się niepospolicie gorszyć moje obiedwie towarzyszki.

Ukąsiłem się aż do krwi w usta, starając się przybrać twarz poważną, gdy wtem mały piesek Emilii poekoczył ku powozowi, i szczerkając obiegał go dokoła. Konie zaczęły się płoszyć i całym pędem pomknęły w bok. Niezręczny woźnica szarpnął ze wszystkiej siły za cugle, obie lejce pękły mu w rękach, konie też niczem teraz niepowstrzymane rzuciły się jednym sussem ku najspadzistszej ścianie góry.

Na ten widok wydały obiedwie kobiety jeden wykrzyk zgrozy i przestachu, a ja stanąłem jak wryty, nie czując się w siłach pospieszyć w pomoc obudwom podróżnym, których śmierć wydała mi się już nieuniknioną.

W tej chwili obiły się naraz dwa okropne wykrzyki o moje nszy.

— „Ratuj mojego zięcia!“ — krzyknęła matka Emilii.

— „Ratuj mego męża!“ — zawtórzyła Emilia sama.

— „Męża pani?“ — zawołałem osłupiały z przerażenia.

— „Mego męża, kapitana!“ — powtórzyła z głuchym jękiem Emilia.

Nie widziałem i nie słyszałem już nic więcej, wszystko zakreśliło mi się w oczach i dziwnie jakoś zahaczało w uszach. Powóz zdążył szalonym pędem ku przepaści, jeden moment a runąłby na dół na skały i olbrzymie bryły kamieni.

Jakim cudem zdołałem jeszcze przyskoczyć w porę, i uwisnąwszy w enclach rozhukanym koniom, powstrzymać powóz od upadku, z tego nigdy sobie nie będę mógł zdać sprawy... Szarpnięte silną ręką konie zatoczyły się w tył, a jeden z nich zaplątał się w rzemień chomątów, i padł na ziemię, obalając z sobą cały powóz.

Opasły kapitan i wychudzony artysta wylcieli w jednym i tym samym czasie na murawę, a prócz lekkiego utłuczenia nie odnieśli obadwaj żadnego niebezpiecznego szwanku.

Kilka sekund po tym wypadku stałem jeszcze nieruchomy i jakby ogłuszony na miejscu. Wnet jednak opamiętałem się zupełnie. Rzucałem okiem na Emilię i spojrzenia nasze spotkały się z sobą. A ta chwila pozostanie mi na zawsze w pamięci. Po licach Emilii spływał obfity źródź łez, z jej oczu bił ku mnie wyraz namiętej miłości, pomieszanej z rozpaczą niezazęganą.

Nie mogłem wytrzymać takiego spojrzenia.

Nie wiedząc sam co czynię, poskoczyłem w kilku krokach do mojej najętej bryczki, i kazałem co koni wyskoczy pędzić napowrót do miasteczka.

Zjeżdżając na dół nie mogłem przenieść na siebie, aby jeszcze raz nie pożegnać okiem Emilię. Trzymała ona rękę na sercu, i płakała nie rnszając się z miejsca, podczas kiedy matka pomagała podnieść się z ziemi ciężkiemu kapitanowi. Jakgdyby jedną i tą samą myślą natchnieni wyciągnęliśmy ku sobie jednocześnie nasze ramiona.

Nader krótko trwała ta piękna chwila. Bryczka moja stoczyła się chyżo na dół, czarowna postać na górze znikła z przed moich oczu, a jam pędził ku miastu na pół nieprzytomny i obłąkany.

— „Ratuj mego męża!“ — tętniło mi bez ustanku w nszach, grożąc pozbawić mię zmysłów do reszty.

Okropny jakiś ciężar tłoczył mi piersi, z oczu niepodobna było dobyć ani jednej łezki, życie moje zdawało się złomanem we wszystkich funkcjach, a jeden tylko wykrzyk: „Ratuj mego męża!“ tkwił mi ustawicznie w uszach i pamięci.

Dojechałem nareście do miasteczka St. W kilka chwil zapakowałem mechanicznie moje rze-

czy, a uporządkowawszy rachunek z oberży-stą, w niespełna półgodziny byłem jnz w drodze do Warszawy. Podróż odbywała się pocztą bez wypoczynku, bez wytchnienia. Każdy przeprząg koni wydawał mi się wiekiem udręczenia, rad byłbym ptakiem przelecieć do stolicy.

Przybyłem już do niej późnym wieczorem, i niepoznaany i niespodziewany przez nikogo, wpadłem do mojego mieszkania. Udało mi się jakoś zapalić świecę, a pierwsze moje spojrzenie padło mimowoli na wiszące naprzeciw zwierciadło. I zadrżałem na swój własny widok. Byłem zmieniony do niepoznania. Twarz wybladła, znużona podróżą, oczy zapadłe, włosy i suknie w nieładzie, uczyniły mię w jednej chwili o kilka lat starszym.

Przypominałem sobie teraz, że przez całą drogę prawie nie jadłem. W kawalerskim mojem mieszkaniu nie podobna było znaleźć jakiegokolwiek żywności. Przydybałem tylko gdzieś w kącie pół butelki wina, i to stanowiło moją wieczerzę. Nawpół nieprzytomny ułożyłem się potem do łóżka, i zapadłem w sen głęboki.

Nazajutrz rano ocknąłem się w gwałtownej gorączce, a dopiero po kilku tygodniach zdołałem podźwignąć się z ciężkiej choroby.

Wszakże choroba ta była dla mnie istnem zbawieniem. Uzdrowiony na siłach, ozdrowiałem po części i na sercu i duszy. Przynajmniej owa rozpacz bez granic, kołotająca do niedawno tak srogo całą istotę moją, ustąpiła teraz pewnemu smętnemu, cichemu poddaniu się, które jakby lekką mgłą omroczyło moją duszę, i zabiło we mnie na zawsze dawną wesołość i swobodę umysłu. Odtąd nie czułem się już zdolnym miłości, a w pierwszym uniesieniu smutku poprzysiągłem pozostać bezzennym do śmierci.

— „A o Emilii nie słyszałeś nic więcej?“ — zapytała mię na to ciekawa siostra.

— „Owszem, zasiągnąłem jaknajdokładniejszą wiadomość o całym jej życiu. Biedna kobieta! Urodzona w dobrym ale zupełnie zubożałym domu, musiała poświęcić się woli i dobru swojej matki, która przyzwyczajona za młodu do wytwornego życia, szczęściem córki okupiła dostatki i wygody na starość.

Naglona jej prośbami i namowami, musiała Emilia oddać rękę opasłemu kapitanowi, dzie-dzicowi trzech wiosek przyległych, człowiew-kowi bez wykształcenia, oddanemu pijaństwu i pozbawionemu wszelkich uczuć szlachetniejszych.

Bolesną ofiarą najdroższych marzeń dziewiczych zapewniła szlachetna córka szczęście matki, lecz zgubiła sama siebie. Serce jej nie zdołało ukoić ranę, którą zadał jej związek nieszczęśliwy, a którą poznanie moje zapewne gorzej jeszcze rozdarło. Od chwili też naszego rozstania cierpiała ciągle na pierś, a po kilku miesiącach pożegnała świat na wieki. Świeć panie jej duszy.“

— „Amen!“ — dokończyła siostra, składając serdeczny pocałunek na moje czoło.

— „Amen!“ — zawtórzili szwagier i wszyscy obecni mężczyźni, podając mi ręce z rozrzewnieniem.

Tak powszechne współuczucie ucieszyło mnie niezmiernie. Poznałem że moje prosto-duszne opowiadanie zajęło i zabawiło wszystkich. Podziękowałem serdecznie za udział w mojej dość tragicznej historii, a dla zatarcia przykrych uczuć, jakie budziło podobne wspomnienie, usiedliśmy wnet do zapowiedzianego zdawna preferansika.

Przyznam się jednak, że tego wieczora nie grałem jak zwyczajnie, i często przy pomaganiu na ostre zasłgiwałem nagany. Już to bo z początku dręczyły mnie dawne wspomnienia, a na końcu zaś przypominałem sobie z przerażeniem, że odchodząc zapomniałem służącemu zostawić klncz od drewnitni. W takim razie potrzeba było z góry oswoić się z myślą, że powróciwszy do domu, zastanę zimno jak w lodowni.

Niemile to spostrzeżenie zakwasilo mi humor do reszty, i zbiło mnie zupełnie z toru.

Niedobrzeto zawsze być starym kawalerem. Człowiek stoi samotnie w życiu jak przy drodze drzewo bez gałęzi, bez liści i kwiatów.



Arago i Ampère. Podobnie jak w roku bieżącym tak też i w roku 1840 rozprawiano wiele o zapowiedzianym końcu świata. Przy tej sposobności postanowił Arago zażartować sobie z Ampère, którego niesłychane roztargnienie weszło w przysłowie w kółkach uczonych. Zaprosiwszy pewnego razu sławnego akademika z kilku przyjaciół do siebie na obiad, wziął go na bok, i szepnął mu z wiele obiecującą miną: „Mam ci powiedzieć pożądaną nowinę. Będzie tu dziś pewna Amerykanka, która w naukach przyrodzonych a szczególnie w astronomii nie ustąpi pewnie ani mnie ani tobie.“ — „Niepodobna“ — zawołał Ampère. — „Nie żartuję. Mnie samego wprowadziła w największe zdumienie. Wyobraź sobie

dowodzi ona z niezbitą pewnością, iż zapowiedziany koniec świata nastąpi rzeczywiście w tym roku.“ — „Co za niedorzeczność!“ — „Powiedz inaczej, gdy z nią pomówisz. Mnie zawołała zupełnie; sądziłem że ci sprawię przyjemność, naznaczając jej miejsce obok ciebie.“ — „Bardzo ci wdzięczny; lecz gdzież ona?“ — „Zastaniemy ją w sali jadalnej.“ — W półgodziny potem zasiadli wszyscy do stołu. Arago wybiegł do przyległego pokoju, a przywdziawszy czepkę i szal kobiecy, powrócił bez wszelkich innych przyborów do sali jadalnej, i zajął miejsce obok Ampère, który cożywo porwał się z krzesła i mniemaną Amerykankę niezwyčajnie grzecznym przywitał ukłonem. Przy swojej wysokiej postawie, swoich szerokich plecach, śniadej cerze twarzy i długich i gęstych faworytach, wyglądał Arago najpocieszniej w czepku i szalu. Wszystko to jednak uszło uwagi roztargnionego nad wszelkie wypowiedzenie Ampère. W najlepszej wierze wdał się on natychmiast w rozmowę z Amerykanką, i wszczął sam kwestyę o zapowiedzianym końcu świata. Wkrótce zawiązała się między nimi nader żywa rozprawa, dotykająca najtrudniejszych i najzawiłszych zadań matematycznych. Z grzeczności nie chciał z początku Ampère sprzeciwiać się cudzoziemce, znachodząc jednak we wszystkim opór nieprzewidziany, wpadł w coraz większy zapał, i dowodził i gestykułował z największą żywością. Wszyscy obecni śmieli się do rozpuku. Ampère nie zważał na nic, nie domyślał się niczego, owsem zajęty do najwyższego stopnia rozmową, zapominał nawet o jedzeniu. Po skończonym obiedzie wyszedł Arago do drugiego pokoju, i rozebrawszy się na przedce, powrócił do salonu. Ampère nie spostrzegł był wrzody jego niebytności, ujrawszy go nagle zawołał z żywością: — „Miałeś słusność! to szczególniejsza kobieta!“ — „Nie mówiłem ci?“ — odparł Arago, tłumiacz z frunością głośny wybuch śmiechu. — „Ależ uparta przytem jak muł“ — prawil dalej Ampère. — „Niepodobna jej było przekonać w niczem zgola. W zapale rozprawy uniosłem się cokolwiek żywością; wypadałoby ją przeprosić.“ — „Pojechała właśnie na operę, musisz bowiem wiedzieć, że zna się taksamo na muzyce jak na astronomii.“ — „Muszę ją koniecznie odszukać, bo przed-siewiałem sobie dowiedzieć jej na wszelki sposób że się grubo myli. Wyobraź sobie...“ — „Opowiedz mi innym razem; pij kawę.“ — „Uważałeś jednak iż kobiety, hołdujące umiejętnościom, mają w twarzy i w mowie coś... coś... coś mezkiego.“ — „Niezawodnie.“ — „Musiała być kiedyś bardzo piękna ta Amerykanka!“ — „Być może.“ — „Ale się myli, grubo się myli. Dowiodę jej tego bądź co bądź... Wyobraź sobie...“ — I niezrównany w swoim roztargnieniu Ampère umarł nie dowiedziawszy się nigdy o tej uciesznej mistyfikacji.

Podrowanie się w dawniejszych czasach pociągało w armii koszta niesłychane. Znany historyk Andrew wykazał w swem dziele „Wiek ośmnasty“, iż same wojsko angielskiego króla Jerzego II, wynoszące w kraju i koloniach do 25,000 żołnierza, potrzebowało rocznie na pudr sześćdziesiąt pięć tysięcy beczek mąki; każdy bowiem żołnierz pobierał funt pudru na tydzień. Ogromna ta ilość mąki mogła 50,000 ludziom wystarczyć na chleb powszedni, a musiałaby wydać przeszło 5,000,000 sporych bochenków.